



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

POGA WĘDKA.

Co było do przewidzenia, to się stało: powódź przysła.

Skoro tylko ciepłszym tchnieniem chuchnęła wiosna na lody i na śniegi zwalone przez zimę, skoro zaczęły pękać szkliste skorupy na rzekach i jeziorach, rozpętał się uwieczony żywioł i wyskoczył na brzegi.

Co roku mniej więcej powtarza się to samo, ale w tym roku były większe powody do groźniejszej katastrofy, która swoje zrobiła, a dałby Bóg, aby się nie wróciła.

Europejska aura ma rozmaite dziwactwa.

Zima dała się wyjątkowo we znaki wszystkim i nawiedziła nawet kraje, które za ledwie słyszały o śniegu, jak o czemś bajecznym; teraz znów, gdy od nas zbyt wcześnie umknęła, przeniosła się do Anglii i gdy u nas nagła odwilż spowodowała powódzie na pobrzeżach Warty i Wisły, tam, w mglistym Albionie, mrozy i śmieżyce dokuczają w najlepsze, przerywają komunikacją i znęcają się na wyspiarzach.

Zdarzyć się jeszcze może, że się figlarniej zimie zachce do nas powrócić i zaskoczyć wiosnie drogę; przecież miewaliśmy już śniegi w Maju i poczciwa Wisienka po dwa razy stawała pod lodem.

Tegoroczna powódź nie przyszła niespodzianie, mimo to dużo szkody wyrządziła na powiślu. Pod Warszawą rozpętane fale wśliznęły się daleko i zuchwale; już dawno nie pamiętano wylewu tak szybkiego i szerokiego.

Po ulicach nadbrzeżnych dzielnic w stronie Solca, Maryensztatu, Rybaków pływano łodziami, jak w weneckich lagunach. Powódź zra-

wała sporo ludzkiego mienia, poniszczyła, zatopiła, zburzyła całe domy, uprowadziła bydło i zwierzęta domowe, hulała krótko, ale dobrze.

Dotychczas jeszcze o klęskach nagłej odwilży w środkowej Europie jakoś nie słycać, ale z bliższych stron nadeszły wiadomości o wylewie Warty pod Poznaniem.

Wobec powtarzających się coraz częściej klęsk na powiślu sprawa regulacji rzek naszych macierzy nasuwa się gwałtownie na porządek dzienny, a przy niej kwestya bulwarów projektowanych przez p. Devars'a nabiera jeszcze więcej znaczenia i domaga się rozwiązania w najbliższym czasie. Rozumie się, że regulacja, jako przedsięwzięcie skomplikowane rozmaitemi warunkami, wymaga ogromnych kapitałów i bardzo wysokiej inicjatywy, ale bulwary, obchodzące szczególnie tylko samą Warszawę, wydają się łatwiejszymi do wykonania i bliższymi zamierzonego celu.

W projekcie bulwary warszawskie przedstawiają się tak ponętnie, że przeciętny Warszawianin, którego dwa ideały: kanalizacya i wodociągi, przestały być manią, odkiedy ta olbrzymia praca dobiega ku końcowi, ma o czem marzyć na przyszłość i wzdychać do czego:

— Mój Boże, żebym ja jeszcze dożył wybudowania bulwarów!...

Potem, rozumie się, powstanie jakiś nowy nieprawdopodobny z początku projekt, który będzie wnuków naszych ambicyą i utrapieniem, ale tymczasem dla nas po kwestyi Lindlejowskiej, kwestya Devarowska jest na porządku dziennym grodu, co ma kapryśną syrenę za godło.

Zanim wszelako urzeczywistni się najświeższy ideał przeciętnego Warszawianina i rozstrzygnięta zostanie sprawa bulwarowa, na której postanowienie również niecierpliwie oczekują kapitałści francuzcy, będziemy zapewne mieli inną dogodność nad Wisłą, a mianowicie: trzeci most na przeciw ulicy Jerozolimskiej.

W takim razie na Saską Kępę suchą nogą będziesz chodził, szczęśliwy Warszawiaku, od Maja tramway będzie cię wozził na Czerniaków a później i do Wilanowa; ułatwiają ci zamiejskie wycieczki na lato, abys miał gdzie wytechnąć na łonie natury, — kochanku, czegoż chcesz więcej!...

Ja wiem, ja cię znam, wygodnisiu, tybys chciał, żeby Czerniaków i Wilanów, i Saska Kępa ze swemi koloniami do ciebie przyjeżdżały, żebyś nie potrzebował się ruszać z Saskiego Ogródu, a miał wszystkie przyjemności i niespodzianki pod samym noskiem, żeby na każdej ulicy był ogródek, w każdym ogródku najlepsze piwo i teatrzyk, a w każdym teatrzyku Zimajerka, albo coś w rodzaju Modrzejewskiej. Pan dobrodziej jesteś z natury wymagający i kapryśny.

Na to mi odpowie normalny warszawiak:

— Ładnie ja jestem wymagający!.. chodziłem całą zimę do Letniego Teatru i nie skarżyłem się. Obiecywali mi elektryczne oświetlenie na Wystawie sztuk pięknych i nie dali, a ja nie. W Towarzystwie wioślarskiem podnieśli mi o połowę roczną składkę, a winta jak nie pozwalają grać w zimowym lokalu, tak nie pozwalają, a ja znowu nie. I to się nazywa być kapryśnym?...

Ponieważ na argument potrzeba argumentu, otwieram sprawozdanie Towarzystwa Muzycznego za dwudziesty rok jego istnienia i czytamy: „Główną przyczyną tak leniwego względnie rozwijania się Towarzystwa i jego wpływu na umykalnienie naszego społeczeństwa, szukać należy przede wszystkim w dziwnej obojętności ogółu względem spraw artystycznych i jego skłonności do szybkiego stygnięcia w pierwotnym zapale względem wszelkich kwestyj, mających nawet doniosłe społeczne znaczenie“.

A co?...

Ponieważ argumenta popierają się najdowodniej cyframi, zatem przytoczmy i cyfry. Od 1871-go roku przez trzy lata liczba członków wzrastała stopniowo i dochodziła prawie do 1400,

potem gdy podwyższono składkę, zaczęła się stale obniżać i doszła do połowy swego pierwotnego maximum, na której to wyżynie utrzymuje się w ostatnich kilku latach.

Komitet Towarzystwa muzycznego, z dyrektorem Noskowskim, robi wszystko, co można, abyśmy prawie za darmo mieli tyle muzyki, ile jej warszawski meloman wytrzymać może.

W roku zeszłym trzydzieści jeden wieczorów urządzono dla członków w ciągu jednego sezonu, zorganizowano chór, w którym około 200 osób śpiewa, złożono nanowo amatorską orkiestrę pod dyrekcją p. Münchheimera, (wyjątkową skuteczność działalności jego w tym kierunku walne zgromadzenie uczciło oklaskami), urządzono stały kwartet smyczkowy do muzyki pokojowej, rozpisano konkurs na libretto do opery, rozwinięto szkołę muzyczną i deklamacyjną i zaprowadzono nowość, mianowicie chór dziecięcy, w którym śpiewa dotąd przeszło sto głosików od siedmio do dwunastoletnich.

Wieczory były istną konstellacją gwiazd i gwiazdeczek artystycznych, świecących na estradzie, na której śpiewały Lucca, Nikita, Pattini, występował lew tenorów Mierzwiński i lew pianistów Reisenauer, czarował pociągnięciem smyczka Barcewicz i Auer, siadali do fortepianu Michałowski, Stavenhagen, Dreyschock, Szlecer i t. d. i t. d.

Taki dobór wykonawców i znakomitości w ciągu jednego roku sprawozdawczego nie przyjmował udziału w wieczorach żadnej z najznakomitszych nawet europejskich instytucji muzycznych—powiada sprawozdanie—z wyjątkiem może najbogatszej i najslawniejszej z nich—Gewandhausu lipskiego, który, posiadając krociowe kapitały, oraz własną znakomitą orkiestrę, może urządzać i drogę, i wysoce artystyczne wieczory—bez obawy deficytu.

Cóż to pomoże, kiedy w ciągu roku ubyłoby jednak około stu członków. Czyżby za poważne programy i za wielcy artyści składali się na wieczory Towarzystwa muzycznego w Warszawie?... czyżby naprawdę należało uwzględnić głosy niektórych mówców na walnem zgromadzeniu członków, wyrzekające, iż Towarzystwo ma zamało charakteru klubowego, a za dużo muzyki pokojowej?...

Przed laty kilkoma pamiętam niebawym tłok w salach redutowych; na estradzie pewnego wieczoru stanął węgier z piszczałką o trzech dziurkach w ręce, a nazywał się Nagy. Te tłumy melomanów przybiegły dla niego na wieczór w Towarzystwie Muzycznym, nie wiadomo czy dlatego, że się tak nazywał, czy też że grał na piszczałce tylko o trzech dziurkach. „Artysta“ powodzenie miał szalone!... A było to na zakończenie dyrektorstwa Władysława Żeleńskiego. W dopuszczeniu takiego wirtuoza do popisu miała być podobno złośliwość ze strony poważnego kierownika instytucji; chciał on pokazać, jacy artyści i jaki rodzaj muzyki mogą liczyć na największe powodzenie wśród ówczesnych melomanów Towarzystwa.

Czasy się niby to zmieniły; nauczyliśmy się chodzić na koncerty symfoniczne i wieczory kameralne, a jednak Towarzystwa Muzycznego, dla zbyt poważnego kierunku, od niedoborów rocznych ochraniać — nie chcemy. My już tacy!..

Ale nasza „Lutnia“ pojedzie, jeżeli nic nie stanie na przeszkodzie, aż do Kolonii śpiewać na międzynarodowym konkursie nad Renem w ciągu tegorocznej wiosny; to nam znowu wyrobi opinią bardzo muzycznego miasta. Ale w foyer teatru Wielkiego stanie pomnik dla Moniuszki, (zafundowany głosem Mierzwińskiego); to znów będzie świadczyło o naszej czci dla pieśni i jej wielkich mistrzów.

Mój Boże, żeby to pozory nigdy nie zwdziły, świat byłby rajem a Warszawa w tym raj miastem gubernialnem.

Dzięki energicznej inicjatywie, Teatr Wielki zyska już trzy ozdoby artystyczne i pamiątkowe; dziś właśnie odbędzie się przedstawienie w Salach redutowych z udziałem nieznanej Modrzelewskiej, która gra w „Walce kobiet“ na korzyść pomników dla swych znakomitych kolegów

z lat dawniejszych, dla Żółkowskiego i Królikowskiego.

Fundusz zatem powiększy się znacznie; na pomnik Moniuszki ofiara Mierzwińskiego zdaje się, że wystarczy.

Tymczasem artyści rzeźbiarze mają pracować nad konkursowymi projektami; konkursu ograniczono, wezwano tylko niektórych celniejszych, a nie cały ogół artystów do współudziału. Projekt ten nasunął się po pierwszym *fiasco*, jakie zrobił ogólny konkurs na pomniki dla pierwszego komika i tragika warszawskiej sceny.

Może ten drugi będzie pomyślniejszy, *nb.* jeżeli w nim przyjmą udział wyróżnieni artyści.

Kwestya brazylijska nie schodzi z porządku dziennego; mówi się o niej i pisze zawsze jeszcze bardzo dużo. Po powrocie Dygasińskiego sprawa posunęła się o tyle na drodze praktycznego przeciwdziałania, że postanowiono ułatwić do kraju powrót zbiedzonym i zmarnowanym robotnikom brazylijskiej wyprawy, którzy najskuteczniej będą mogli własnym przykładem i smutnym doświadczeniem oddziaływać na obalamuconych.

W celu sprowadzenia takich ofiar gorączki za-atlantyckiej wybierają się jeszcze przed świętami wielkanocnymi ks. rektor Zygmunt Chelmicki i jeden z zamożniejszych obywateli wiejskich p. Mikołaj Glinka do Brazylii; oprócz humanitarnych zadań, mają oni jeszcze na celu zbadać dokładne warunków i stosunków miejscowych.

Pomysł tej misji był bardzo szczęśliwy i wybór nader trafny, a wyniki jej mogą okazać się skuteczniejszymi od wszystkich środków przeciw wychodźtwa gromadnemu zalecanych.

W Maju bieżącego roku puszcza się również w podróż po Brazylii i Argentynie D-r Józef Siemiradzki w towarzystwie p. Antoniego Hempla i jednego ze słuchaczy lwowskiej politechniki. Zamierzona specjalna wyprawa zbiorowa nie przyszła do skutku z powodu braku funduszy znacznie większych; turyści wyjeżdżają tedy własnym kosztem.

Z Rio Janeiro zamierzają się udać w głąb prowincji Sao Paulo, do miasteczka Campinar w celu zapoznania się ze stanem plantacji kawowych i położeniem wychodźców europejskich; następnie udadzą się do Rio Grande dla naocznego przyjrzenia się koloniom polskim i plantacyom większym na pograniczu Urugwaju położonym.

Około Października D-r Siemiradzki spodziewa się dotrzeć przez Montevideo do Buenos Ayres a ztąd ufornowawszy karawanę i zaopatrzywszy się w potrzebne legitymacje urzędowe, wyruszy na południe ku źródłom Rio Negro i granicom Araukanii.

Wyprawa ta, którą trzeba odbywać konno na przestrzeni kilku tysięcy kilometrów prawie wcale niezaludnionych, potrwa co najmniej rok cały, do przyszłego Maja, następnie zaś nasz uczony podróżnik pojedzie na północ do gorących prowincji Salta, Catamarca i Mendoza, w celach wyłącznie przyrodniczych; powrót do kraju przewidywany jest dopiero na zimę roku 1892-go.

Wrażeniami i spostrzeżeniami swemi w tej podróży D-r Siemiradzki dzielić się będzie z czytelnikami „Wszechświata“ i „Tygodnika Ilustrowanego“.

Jakie ważne i nieznanne nam tajemnice w owej „ziemi obiecanej“ XIX-go stulecia, odkryć może bystry obserwator, mamy próbkę w listach Dygasińskiego i p. Nestorowicza, a nadto w korespondencyach, nadsyłanych ztamtąd obecnie coraz obficie do naszych dzienników.

Szkoda, że w szeregu prelegentów na dochód Osad rolnych w Studzieńcu, nie stanie tego roku ani Dygasiński, ani p. Nestorowicz, autor bardzo ciekawej broszurki o „Brazylii i Argentynie“, wydanej staraniem i nakładem redakcyi „Kuryera Codziennego“; opowiadania ich żywym słowem o stosunkach i krajach południowej Ameryki byłyby bardzo ciekawe i pouczające. Towarzystwo zyskałoby z pewnością znaczny zasiłek, a sprawa wychodźtwa nowy promyk światła, któryby sięgnął dalej w tłumy.

Tegoroczne prelekcje rozpoczną się dość późno, bo dopiero 5-go Kwietnia, wypadną tedy na najpiękniejszy zapewne czas wiosenny i będą musia-

ły rywalizować z pogodą; u nas, niestety, rywalizacja to trudna, bo zamiast do sali odczytowej, większość słuchaczy będzie wolała pójść słuchać prelekcji zbudzonej natury w Botanice i Łazienkach a ciekawość swoją zaspokoi — sprawozdaniami w „Kuryerach“.

Instytucya studzienicka potrzebuje wszelako zasiłku dzisiaj więcej, niż kiedykolwiek, ma bowiem 160 wychowalców do wyżywienia i utrzymania, ma 404 uwolnionych elewów, pozostających jeszcze pod opieką i moralnym nadzorem Towarzystwa, ma wreszcie od tak dawna czekający urzeczywistnienia projekt otwarcia przytułku poprawczego dla dziewcząt w Puszczy; na to wszystko potrzeba środków i to dużo, i to stałych, ciągłych, niewyczerpanych.

Lista prelegentów i wybór tematów powinny zainteresować nawet podczas kanikuly każdą publiczność, bo przedmioty wybrane do odczytów mają pewną aktualność, jak np. suchoty, zajmujące dziś cały świat kaszlący i niekaszlący; znany zaszczytnie laryngolog i specjalista w chorobach najczęściej trapiących ludzkość, Dr. Teodor Heryng będzie mówił o przyczynach suchot płucnych i ich zapobieganiu, zaś Dr. Henryk Dobrzycki, wyborny popularyzator, nowobranym prezesem Towarzystwa lekarskiego, powie nam o leczeniu gruźlicy i o nowych metodach tak głośno rozreklamowanych dziś w Europie.

Dr. Henryk Nussbaum roztoczy ogólny pogląd na budowę i mechanizm ustroju ludzkiego, inżynier Tadeusz Krzyżanowski mówić będzie o warunkach i wymaganiach urządzeń sanitarnych w miastach, co dla Warszawy szczególnie, może być tematem bardzo pouczającym.

Pan Edmund Jankowski, redaktor „Ogrodnika polskiego“, jeden z najprzyjemniejszych gawędziarzy w swej specjalności naukowo traktowanej, wybrał sobie temat bardzo właściwy na Kwiecień i Maj a niewątpliwie obchodzący całą pleć piękną, mianowicie o „Kwiatach pokojowych“; zaś jeden z najwymowniejszych naszych adwokatów Jan Maurycy Kamiński tęsamą pleć piękną zaatakuję z najslabszej strony, bo ze strony ciekawości, obiecując określić pannom, mężatkom i wdowom stanowisko ich wobec prawa.

O emigracyi amerykańskiej ze wschodnich prowincji monarchii pruskiej powie nam adwokat Alfons Parczewski, dobry obserwator stosunków społecznych i badacz naszego ludu, zaś adwokat Adolf Suligowski intrzyguje dotychczas krótkim tytułem: „Na powiślu“, pod którym roztoczy zapewne ciekawy obraz stosunków ludności pracującej, rzemieślniczej i fabrycznej.

Jak uważacie, zastęp tegorocznych „odczytników“ na Osady rolne składa się z samych medyków i prawników, czyli z dwóch warstw społecznej inteligencji, które u nas bardzo poważne zajmują stanowisko.

Literatura ma mieć jednego tylko przedstawiciela, który zamierza między uczni Eskulapa i sługi Temidy wcisnąć się w charakterze nowelisty; skromność własna nie pozwala mi wymienić jego nazwiska.

Zarząd osad rolnych zaprowadza w tym roku nowość, a mianowicie: bilety familijne na pięć i trzy osoby; kupujący je od razu na wszystkie odczyty, zyskują prawie 50% w stosunku do cen pojedynczych biletów na każdą prelekcją z osobna.

Przypuszczam, że w tych praktycznych czasach, ten czysty zysk będzie także jedną zachętą więcej do bywania na odczytach tegorocznych.

Mam ochotę przekreślić to zdanie, przypomniawszy sobie ostatnie sprawozdanie „Merkurego“, które mnie przekonało, że u nas poczucie własnej korzyści nie jest chyba jeszcze dość rozwinięte, skoro to stowarzyszenie spożywcze, pomimo dwudziestu lat istnienia, nie mogło się dotąd należycie rozwinąć i chroma nieustannie.

Na walne zebranie stowarzyszonych przychodzi zaledwie dziesiąta część członków, których w półmilionowym prawie mieście razem jest tylko kilkuset.

Wprawdzie jeden z mówców walnego zgromadzenia uskarżał się, że ceny niektórych artykułów są droższe w sklepach „Merkurego“, niż w innych handlach, ale tę kwestyą rozstrzygnę-

wschód) wszystko musiało samo z siebie wykrzesywać: i jasności, i uśmiechy, i przyszły chleba kawałek i przyszły w społeczeństwie blask. Bez wytrwałej miłości celu, którym była oświata, nie mogłoby dziecko anisamo o sobie myśleć, ani też sobą sterować; nie zdołałoby wykuć sobie drogi życia przez tę prawdziwą opokę, jaką przed niem rozciągała losu przeciwność. Miłe, pokrzepiające wrażenie sprawia szczerść, z jaką się w późniejszym już wieku przyznawał do ciężkiej swej doli w dzieciństwie. W *Kalendarzu Jaworskiego na rok 1876* w wierszu do p. W. S. w Nowogródku, wspominając swą młodość, nie lęka się Korotyński — o *horror!* powiedzieć, że był wiejskim pastuszkim. Na Zachodzie byłby to zaszczyt; u nas potrzeba było dużej odwagi, aby się do czegoś podobnego przyznać; bo — u nas inaczej! Nie wstyd nam zsuwać się z góry na dół i upadać, i z kroczi, a często i z milionów, zostawiać dzieciom łachmany, ciemnotę fałszywej oświaty, przekleństwo czezej cywilizacji — biedę, niedolę i zepsucie. Ale wstyd z prochu się podnieść, z małego ziarenka się rozwinąć — z ciemności i biedy na światło i zamożność wyjść, i nie z góry na dół lecz z dołu na górę swą drogę życia przebyć. Znał tę kolowaczną naszą Korotyński — a jednak się nie zawahał. Jestto jeden z jasných momentów człowieka.

Na małe pachole, ledwo od ziemi odrosłe, czyhało już najwyższe nieszczęście, jakie istotę do rozwoju przeznaczoną spotkać może: szkołę, naukę miał przed sobą zamkniętą. Nawet czytania na elementarzu sam uczyć się musiał — i nauczył się, a za pierwszą książką dalsze już chciały rwać począł. I tak szedł już ciągle jako młodzieniaszek o własnej sile, aż doszedł do tego, że mógł już czytać książki rozumne, a czytane rozumieć i zwolna nieznacznie nabierał w siebie tej wiedzy, która przy pięknej, bardzo żywo chwytającej pamięci i ładzie w umyśle, czyniąc jego samouctwo rzetelnem, rzetelnie też później w literaturze pracować mu pozwoliła. Niejeden poemat, niejedną rzadszą książkę niezmordowaną pracą sobie przepisał, jeśli w druku posiadać jej nie mógł. Przez ciągłe czytanie tego dokazał, że mu się nietylko głowa wiadomościami wypełniła, ale jeszcze i wyobraźnia zapłonęła dla poezji, i wkrótce nawet sama wyprowadzać ją z siebie zaczęła.

Zbliżenie się do Syrokomli w r. 1851¹⁾ było dla Korotyńskiego dobrodziejstwem: znalazł się tu odrazu jakby w przybytku literatury i wiedzy literackiej. Przepisując lirnikowi wioskowemu poemata do druku, sam ustawicznie się kształcił, wchodził w stosunki z ludźmi znaczącymi coś w świecie myśli i słowa, zaznajamiał się z formą poezji i pięknej prozy, wyrabiał sobie mowę poetyczną; mógł rychło poznawać utwory literackie, popularne-naukowe i społeczne. Książkę starą od samego początku umysłowego swego istnienia kochał; jako towarzysz Syrokomli miał możność poznawania ich coraz więcej i coraz starszych. Po nauczaniu się gramatyki języka własnego — a jak ją znał, tego w każdym najdrobniejszym artykule dowodził — po wsluchaniu się w melodyę mowy ojczyznej, obznajomiwszy się jakotako z łaciną, wziął się wreszcie do nauki języka francuskiego, i usilną pracą tyle dokazał, że w ciągu lat kilku mógł już złożyć przekonujące wszystkich dowody rzetelnej swej umiejętności.

Tak przysposobiony około r. 1855 zawitał do Wilna. Przyjęty do redakcji *Kuryera Wileńskiego*, przez lat ośm do końca 1865 r., w niej zastawał. W r. 1858 Kommissya Archeologiczna zamianowała go swym członkiem współpracownikiem, a dyplom członkostwa dla miłośnika przeszłości i jej zabytków był bardzo ważny, bo dawał przystęp do zbiorów, umożliwiał ich po-

znawanie, w powietrzu archiwalnem pozwałał technieniem samej przeszłości oddychać. Ceniąc młodą energią, pracowitość i zdolność również i Komitet Statystyczny wileński zaprosił Korotyńskiego do swego grona, a nie pominęło go i jednocześnie prowadzone w Wilnie literacko-naukowe przedsięwzięcie *Słownika języka polskiego*. Przedmowa do tego dzieła wskazuje, co w niem zrobił.

Imię Korotyńskiego nie było już wówczas obcem, przynajmniej dla literatów. Już w roku 1856 *Biblioteka warszawska* (II, 225), zamieściła jego lirykę *Nad kolebką*, po której w końcu tegosamego roku ukazały się *Branki* (IV, 38), a w piowszym tomie następnego *Powrót ze swadźby*; dwa wyjątki z większego poematu i *Brzózka* weszły jeszcze do tomów dalszych (II, 748, III, 672 i IV, 160). W tym samym, 1857, roku odważył się Korotyński wystąpić już w osobnej książce: wydał zbiorek około 100 stronic in 16 o p. t. *Czem chata bogata tem rada*. Jest to dwadzieścia utworów lirycznych z dążnością umoralniającą, na tle wypadków i wiary ludowej; najlepszy nosi tytuł *Swaty*. Większe opowiadanie historyczne ma za przedmiot miłość i dobroć serdeczną Jadwigi (*Plaszcz królewski*). Poważna myśl wydała z siebie *Bramina u kresu żywota*, rozmyślającego nad koniem Kaliguli.

W tym samym roku 1857 *Teka Wileńska* wydrukowała *Okruchy* — jedenaście utworów lirycznych uczuciowych i myślowych. Wzniosłością myśli odznacza się *Pieśń wdowa*, lecz do ideowej wypukłości braknie jej wdzięku słowa, niczego więcej, bo jest nawet i siła. Ta pieśń od siebie mówiąca jest z kolei piastunką ludzi, pamięcią ludów, matką czynu, balsamem życia, wreszcie syntezą rozumu i uczucia. Gorąca miłość ludzkości natchnęła *Wigilię Bożego Narodzenia*, głos zwrócony do *Czarnych* w Ameryce. *Pieśń zmyślona* nie podobała się w kołach możnowładczych i zachowawczych, dbałych o interesa kastowe i kastowy też honor. Lucyan Siemieński skrecał bicz na zuchwałego autora. Silniej jeszcze demokratyczny duch wieje, boleśniejszy wyrzut z powodu zaniedbywanych obowiązków rozlega się w *Tomile*, poemacie ludowo-fantastycznym, wydanym w r. 1858 (Wilno), z którego właśnie wyjątki pomieszczała w roku 1857 *Biblioteka*. Wątpliwość budowy, mglistość wydarzeń, nieujętość głównej postaci (nie jest nią Tomiło, ale Pan z doliny), nie pozwoliły przewodniej myśli utworu przemówić do umysłów. Tomiło ma kilka dobrych rozmów w stylu malarstwa rodzajowego, ma wymowny, jakby w smutku rozumu napisany głos z zamku (str. 40/1), ma piękną nawet żalność nad ciemnotą ludu (str. 51/2); ale jako całość jest słabym. Ozdobę książki stanowią przesliczna przegrywka Syrokomli.

Kiedy zaczął się szerzyć ruch wstrzeźliwości, młode pióro, odczuwające doskonale niedolę ludu, dla poparcia zacnych dążeń, uproszone umyślnie w tym celu, wystąpiło z wierszowaną nauką p. t. *Wypil Kuba do Jakuba, czyli urodziny, powołanie i suchoty gorzałki* (str. 5—23, 16^o). Same te *suchoty* przytrzymywały już wyobraźnię ludową. Sześć zwrotek końcowych, odlanych w formie piosnki pijackiej, zasługiwałyby dziś jeszcze na wdrukowanie w jaką książkę dla ludu. Jedną z nich brzmi:

Człeku głowa — rada zdrowa,
Ręka — czeladnica,
Pług — to brat,
Życie — kwiat
Cnota — to zrenica:
Kto dla gardła żyje,
Tego we dwa kije!

W *Tece* ukazał się w r. 1858 *Kwestarz staroza-konny*, obrazek z życia, podobizna wierszem. Wzorem jej żywym był człowiek wielkiego miłosierdzia, znany w każdym zakątku Wilna, przez całe życie biedny, a dziesiątki tysięcy rocznie z kieszeni zamożnych do rąk nędzy przenoszący. Żydzi w Elku przetopili zaraz ten wiersz na hebrajszczyznę.

W r. 1859 ukazały się *Piosnki Berangera*, gruba książeczka in 16-o o trzystu prawie stroni-

cach druku, wspólna praca Syrokomli i Korotyńskiego. Z ośmdziesięciu piosnek tego zbioru autor wiersza do Czarnych przełożył 58. Jest w nich bardzo wiele strof dźwięcznych; myśli pomocników tak trudnych, jak *Kometa* lub *Szczęście*, jedrnie, silnie oddane.

Na r. 1861 przypada ogłoszone najpierw w *Kuryerze Wileńskim*: *Kilka szczegółów o rodzinie, miejscu urodzenia i młodości Adama Mickiewicza* (str. 3—14, 12-o), rzecz drobna rozmiarami, ale na swój czas cenna treścią, źródłowa, a zwrócona przeciwko Zaosi i Ossowcowi. Zebrane w rodzinie Mickiewiczów i udzielone później przez Korotyńskiego synowi wielkiego poety dowody, przyniosły domniemanie *juris et de jure*, że się Mickiewicz nigdzie indziej, tylko w Nowogródku urodził, prawdopodobnie w domu Kamińskiej, a nie w rodowym Mickiewiczów, z kąd młodzieniaszkiem do szkół uczęszczał, gdzie też mieszkali i pomierali jego rodzice. Korotyński pierwszy ogłosił w broszurze swojej dosłowną metrykę chrztu przyszłego poety, z ważnym napisem: *Locus domicilii Nowogródek*, oraz trzynastacie cenzur szkolnych. Przy sposobności zbił niedorzeczność szerzoną we wspomnieniach po wielkim skonie w Konstancy-nopolu, jakoby trzynastoletni już dzieciak pióro szkolne na inne narzędzie zamienił.

Nowogródka bronił Korotyński jeszcze później w *Bibl. Warszawskiej* z r. 1870 w *Dodatku do biografii Adama Mickiewicza* (III, 285) i nowymi wspomnieniami go wzmocnił. Teraz już i z bratem rodzonym poety, Alexandrem, złożyć się musiał, a ponownie wystąpił przeciwko Woycickiemu i Leonowi Potockiemu (Bonawentura z Kochanowa). Ze starannością człowieka kochającego swą pracę powydobywał nawet świadectwa samej meteorologii, (wielkie mrozy w Styczniu i Lutym 1799 r.), aby całością nagromadzonych dowodów obwarować to, co za prawdę uważał i co rzeczywistości prawdą było. Dojechał głównie Potockiemu, nietylko za jego baśni o życiu, położeniu i stosunkach poety w Kownie, ale i za improwizacyę lekkomyślną — o improwizacyi w Dreźnie.

Do Mickiewicza i Potockiego powrócił jeszcze raz, w *G. Warszawskiej*. Bonawentura z Kochanowa, w lekkości swej prozaicznej muzy, postawił był jako twierdzenie — to, cośmy my, ludzie dziś starzy, w młodych swych leciach z ust Leonarda Chodźki nieraz słyszeli, ale przyjmowali zawsze jako czeze dziwactwo zjełczałej od gniewu starości. W rozwichrzonych wspomnieniach Potockiego o Mickiewiczu znalazło się i podanie, że żona pana Mikołaja, Barbara Majewska, była żydówką — pochodziła z żydów. Chodźko jeszcze dalej pomykał, bo, poważnie dla siebie samego, a humorystycznie dla swych słuchaczy, przerabiał nazwisko Mickiewicza na Myckiewicz. Na tę *debilitas aetatis* można było wzruszać ramionami. Gdyby nawet istotnie wielki poeta miał matkę ze skartabellów, nie byłoby w tem najmniejszego nieszczęścia: na szlachectwo, urodzenie patrzą już dziś tylko głupcy, a o tych dbać nie potrzeba. Ale fakt sam przez się był fałszywym, i Korotyński z dowodami w rękę bez trudu go rozkruszył. Wywód przed deputacyą szlachecką z d. 29 Listopada 1804 r. nazywa dziada macierzystego poety „Mostowniczym mińskim“ a urzędnikiem takim, choć bardzo już niskim, nie mógł być szlachcic spętany skartabellatem; wolnym zaś od niego, mógł zostać dopiero w trzecim pokoleniu — co włożyłoby na historyków-bajarzy obowiązek dostarczenia dowodów żydowstwa aż z XVII w., — podczas gdy oni na XVIII nawet zdobyć się nie mogli (2).

(Dokończenie nastąpi).

¹⁾ Sam Korotyński podaje w *Obrazach z nad Niemna* (*Tygodnik powszechny* 1884. N. 14) rok 1850; ale ponieważ objaśniła zaraz, że było to w roku wielkiego zaćmienia słońca, niema zatem wątpliwości, że poznanie się było o rok późniejsze, gdyż wielkie owo zaćmienie wydarzyło się w r. 1851. Łatwiej się pamięta taki rzadki wypadek w naturze, aniżeli marną liczbę.

(2) Wartoby zebrać w jedną całość i wydać to wszystko, co Korotyński o pochodzeniu i miejscu urodzenia Mickiewicza napisał. Nawet wobec biografii Chmielowskiego ma to jeszcze dziś swą wartość.

FRYDERYK SZOPEN

Jako człowiek i artysta.

(Ciąg dalszy patrz Nr. 10).

On pragnąłby wsi, cichości, natury, jak pisze we wspomnianych listach, dodając, że tu często z nocy czyni dnie, a dnie na noce przemienia, — aż w życiu jego zdarzył się ważny wypadek. Jego ukochana wstępuje do teatru, zostaje solistką, a on pisze do przyjaciela rozradowany, że na scenie jest jeszcze piękniejszą, niż w salonie; w rolach tragicznych nie do życzenia nie zostawia, a skala jej głosu jest bardzo rozległa, i on teraz może widzieć ubóstwioną często, może patrzeć na nią swobodnie, słyszeć ją, i to podbudza w nim energią.

Wyjazd opóźnił się blisko o miesiąc od pierwotnie postanowionego terminu droga jego wiodła przez Drezno, Wiedeń, Monachium, Stuttgart do Paryża. We wszystkich wielkich miastach zatrzymywał się, w stosunki z mistrzami muzyki wchodził i słyszeć się dawał z kompozytami własnymi, które obficie tworzył i wykonywał tak, że porywał ludzi i sławę już sobie zdobywał w stolicy, która liczyła się do pierwszych centrów muzycznego świata. Można go oskarżyć o brak samodzielnej zdolności, tworzenia życia według uczuć w sercu noszonych: nie umie przeciwstawić się wypadkom i daje się unosić ich prądem, tak, że kierują nim one według pewnego wyrocznego popchnięcia. Przytem niepraktyczny jest i to mu powiększa trudności — wogóle nie umie śmiało i żywo zdobywać życia szturmem, ale brać mu się daje.

Dla trudności wizy paszportowej w Wiedniu, podał we właściwym konsulacie, jako cel podróży swojej Londyn i napisał mu tam: „passant par Paris à Londres“. W późniejszych, smutnych swego życia latach w Paryżu przypominał sobie tę okoliczność z gorczyzą. Tak! był tu „en passant“... nie stałego, nie coby się związało z nim na dożywnie istnienie jego na ziemi, nie zostało tu pozyskanem... Nie zaliczał do tego sławy; myślał o skarbie uczuć, o posiadaniu spokojnego używania życia w cichem, trwale zbudowanym przybytku szczęścia, któreby brał i dawał. Lecz tego, tego właśnie nie było mu danem osiągnąć. Była to organizacja delikatna, nerwowa, a przytem dziwnie miękka. Nie umiał też opierać się wypadkom życia — dał się falom jego unosić; niemniej przecież posiadał oryginalność silną i cierpiał mocno pod wszelkim wywieranym nań naciskiem. Tak było z człowiekiem, tak było z artystą. Liszt, który go znał dobrze, pisze: „Il a violanté son génie chaque fois, qu'il a cherché à l'astreindre aux règles, aux classifications à une ordonnance, qui n'était pas la sienne et ne pouvait concorder avec les exigences de son esprit, un de ceux, dont la grâce se déploie surtout lorsqu'il semble aller à la dérive“. Beethoven, Mozart, Spohr, wywierali na niego wpływ silny, ale tylko w tem znaczeniu, że wzruszali, rozkołysywali głębiej jego uczuć — rozbudzali natchnienie, które przecież tworzyło zawsze tylko z własnych zapasów, z zasobów osobistości i narodowości swojej. Niekiedy z tego też punktu podnosi bardzo wysoko zalety oryginalności Szopena i pisze, że tworzy on zawsze z własnego tylko mienia artystycznego. Niemniej było to dlań potrzebą, aby wrażenia pewnego rodzaju przychodziły go przynikać, aby zagrały na strunach jego serca i wyobraźni. Niekiedy obserwuje jeszcze jak nuta ludowej muzyki stron jego ojczystych śpiewa w nim, jak charakter człowieka i narodu gra tu rolę wielką we wszystkich utworach Szopena i nazywa też talent jego żywym jej wcieleniem.

Paryż uderzył żywą wyobraźnię młodzieńca swoją wielkością, ruchliwością, rozmaitością, i pisze on do przyjaciela: „Paryż przedstawia wszyst-

ko, czego kto zażąda. Można się tu bawić, śmiać, marzyć, płakać: robić co kto chce“. Była to właśnie ta chwila, gdy romantyzm rozrywał w literaturze pęta klasycyzmu. Wiktor Hugo wydał tylko co swój świetny utwór: „Notre Dame de Paris“ i zaraz potem „Marion Delorme“ i poezje: „Feuilles d'automne“, „Les Orientales“, a obok niego tworzy Balzac; Sand pisze pierwszą powieść swoją: „Blanche et Rose“; Lamartine wydaje: „Méditations poétiques“, „Harmonies poétiques et religieuses“ i co wrażeń, co pojęć nowych — co wzruszeń nieznanych spotyka wrażliwą organizację, delikatną, tkliwą uczuciowość młodzieńca! A dodać trzeba, że to samo dzieje się w zakresie muzyki i co za obfitość oper przedstawia mu się kolejno: na scenie Opery Włoskiej, Wielkiej Opery, Opery Komicznej: „Zampa“, „Niema z Portici“, „Biała Dama“, „Fra Diavolo“, „Włoszka w Algierze“, „Wilhelm Tell“, „Robert Dyabeł“, a wszystko to wykonane z możliwą doskonałością, w połączeniu z dekoracjami, z wystawą świetną. Szopen w listach do rodziców opisuje to wszystko: śpiew szatanów przez tubę w Robercie Dyable, podnoszenie się umarłych z grobu, ruiny klasztoru w oświetleniu księżycowego światła, które srebrzy mogiły zakonnic i jest w tych listach wdzięk dziwnie miły stosunku tego genialnego syna do rodziców — tej pięknej młodzieńczości, idącej w życie z taką prostotą serdeczną. I co robi z tą duszą dobrą i czystą świat? Jakie szpony ją pochwyca, aby upiór wysłał z niej życie i tchnął śmierć!

Młody entuzjasta pisze obok tego do przyjaciela, że jeszcze nie przeżył nigdy tak pięknej chwili istnienia, jak słuchając przedstawienia „Cyrulika Sewilskiego“, z Rubinim i Malibran-Garcia w głównych rolach, a wrażenia takie spotykają go teraz niemal codziennie. Poznaje najznakomitszych swego czasu kompozytorów i wykonańców, lecz on sam skromny, ani się domyśla jak blisko nich stoi, jakkolwiek już go oceniać zaczynają i, gdy raz zagrał na zebraniu muzyków Koncert E-moll, zarzucono go pytaniami: gdzie się kształcił, od kogo muzyki się uczył? On też chce jeszcze lekcje od Kalkbrennera brać i bierze je, jakkolwiek ten jego indywidualności muzycznej nie rozumie i oryginalność uważa za brak metody. W Szopenie przecież mimo jego całej, przedziwnej skromności jest jednak uczucie tego co gra, śpiewa mu w duszy — i pisze do Wojciechowskiego z powodu owych uwag Kalkbrennera, że jakkolwiek nie spodziewa się wytworzyć szkoły nowej, ale wie, że jego gra posiada indywidualność swoją, której usiłuje nie zatracić, którą pragnie podnieść w sobie i dalej posunąć. Chciał pisać operę z motywów czysto swojskich: z tłem historycznym, ale odstępuje prędko od tego zamiaru i pisze do Elsnera, że nie będzie się porywał na takie wielkie zadania, ponieważ nie posiada odpowiednich do tego zdolności: siły, doświadczenia i samokrytyki; przecież obok tej skromności, jest tu i inna jeszcze przyczyna: poczucie samoistności swego talentu, i niechęć oddania utworów swoich na łaskę i niełaskę wykonawców. I dlatego, że się pojmować już zaczyna, przerywa branie lekcji, pisze do Elsnera, że naśladowca ciężką mu jest być, że występuje mu przed duszę śmiała chęć wytworzenia nowej ery muzycznej. Wszak i inni zaczęli tak jak on? prosi więc Elsnera o błogosławieństwo, a wie, że odmówionem mu ono nie będzie, jeżeli go dawny jego mistrz zrozumie: na jakim gruncie i z jakimi zamiarami chce tu do zapasów muzycznych wystąpić.

Niekiedy uważa słusznie ten list Szopena za najważniejszy dokument jego duchowego stanu z tej epoki. Nie jest to już rozmarzony poetycznie odtworzyciel grającej w świecie natury muzyki, którą on chwytą i jak echo na instrumentach swego talentu przegrzywa. Jest to śmiały mistrz, który zasoby swoje zaczyna już znać i wysokie cele przed sobą stawia, śmiało, odważnie do nich dążąc. Szkołę, która nie odpowiadała naturze jego odczucia muzyki, odsuwa, ale dla charakterystyki człowieka ważnym jest szczegół, że od dawnego nauczyciela obojętnie, czy wyniosłe się nie odwraca, zwłaszcza, że zaczynał on poniekąd zasuwać się już w cień, wśród blasków

nowych pojęć o sztuce. Poświęca mu swój Koncert — Es-moll, właśnie wtedy wydany, a ten na odwrót pisze i wydaje wariacje z tematu mazurka Szopena, i z tematu tych mazurków niejednokrotnie na zebraniach muzycznych i na koncertach publicznych improwizuje.

Szopen pragnie też teraz publicznie wystąpić, chce się dać słyszeć w kole szerszem tej publiczności, dla której najdumniejszy, najwynioślejszy nawet artysta tworzy, bo część to jest owej ludzkości, dla której on na forum świata występuje, aby się z nią dzielić grającemu mu w sercu natchnieniami i porywami ducha swego. W Paryżu, gdzie tyle muzyki w czasie owym brzmiało, gdzie tyle znakomitości muzycznych było zgromadzonych, niełatwo było taki koncert dać, któryby rozgłos jakiś sprowadził i drogę do sławy otworzył — choćby ją tylko wyrównał. Szopen przecież ma w piersi pożądanie, nie sławy owej, bo dusza ta za wysoko stała, aby się tam wcisnęła jakakolwiek składowa chęć próżności, wyniesienia się ponad innych. Ale ma on naturalne i w każdej istocie ludzkiej istniejące pragnienie podzielenia się z innymi tem, co w piersiach nosi — wypowiedzenia tego, co tam śpiewa, tęskni i współczucia żąda. Koncert po wielu trudnościach dochodzi na koniec do skutku, lecz gdyby znaczenie jego sądzić kto chciał ze strony powodzenia materialnego, trzeba by go uważać za przegraną walkę o sławę. Salę zapełniali przeważnie ziomkowie koncertanta; z Francuzów, prócz muzyków, byli niemal wyłącznie ci, którym gratysowe bilety wejścia rozdano, i dochód nie pokrył kosztów rozchodu, dał przecież wspaniałe zyski sławy: fundamenta jej położył. Wszystkie muzyczne znakomitości były tu obecne i pisało potem, że zostały wzięte szturmem przez młodego koncertanta. Mendelssohn klaskał z miną tryumfatora, bo on pierwszy w Paryżu wysoki talent Szopena uznał, a jeden z najwyższych wówczas stojących krytyków muzyki napisał, że młody koncertant, idąc za własnych tylko natchnień głosem i nie obierając sobie nikogo za mistrza, odkrył nową drogę piękną i rzucił pełną ręką mnóstwo oryginalnych motywów, których pochodzenie nigdzie odszukać się nie daje.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż, 1-go Marca 1891 r.

Koniec zimy i kusy karnawał. — Nadzieje brukowców paryżkich i rzeczywistość. — Tłusty Wtorek — Kawalkady i zatamowanie ruchu. — Pierwsze brzaski Środy Popielcowej — Wesele Karnawałowe. — Ślub cywilny syna Alfonsa Daudet'a z wnuczką Wiktora Hugo — Dwie główne atrakcje Paryżanów w miesiącu Lutym. — Przyjazd cesarzowej niemieckiej, wdowy po Fryderyku. — Sperandy indemnizacyi. — Dziwolągi. — Cesarzowa Wiktoryja i jej tygodniowy pobyt w Paryżu. — Komplikacye. — Śmiertelność i wielkie straty w dziedzinie sztuki. — Meissonier. — Kilka słów wspomnienia o jego życiu i pracach. — Chaplin. — Wystąpienie nowego artysty polskiego, pana Stojowskiego. — Koncert i niesłychane powodzenie. — Talleyrand i jego pamiętniki.

(Dokończenie).

Prawdą jest, że pracowity i pilny od pierwszych chwil artystycznej frycówki — rysował i tworzył wiele, chociaż wszystkie te pokuszenia się były niemiłosiernie odrzucane na stronę przez przedsiębiorców owego czasu. Ale w ten czas już nawet pewien siebie, i jakby w przeczuciu tego, co go miało spotkać na drodze sztuki miłowanej tak gorąco, nie zraził się, ale zachował pamięć tej pogardy i dał sobie słowo, którego dotrzymał święcie, iż nigdy nie sprzeda im najmniejszej rzeczy, gdy przyjdą go prosić i błagać. Oto jest przyczyna: dlaczego u żadnego

z tych przekupniów, nie było i niema dotąd, ani cała malowidła z podpisem mistrza.

Na większą widownię wystąpił dopiero w roku 1834. Miał wówczas dwadzieścia trzy lata. Na wystawę sztuk pięknych przysłał obraz znany pod nazwą: „Mieszczan Flamandzkich“ albo „Odwiedzin u Burmistrza“, który znajduje się dziś w galerji Ryszarda Wallace'a.

Na wystawie następnego roku znajdujemy „Partyą szachów“, własność panny Janiny Meissonier, a w 1836 r. „Małeńki Czarodziej“ (*Le petit Mage*) uczynił imię artysty znanem i cenionem powszechnie. Widać już w tych wszystkich obrazach: pewność ręki, biegłość techniczną i szczególnie oryginalność młodego malarza, który się ośmielił w owym czasie (1830–36), wyrzec klasycyzmu, zerwać z tradycją artystyczną, uwielbiając wówczas powszechnie, i odsunąć na stronę, ku powszechnemu zdziwieniu, przedmioty biblijne i religijne, tak poszukiwane w owej epoce we Francji.

To też, właśnie wskutek tej śmiałości, młody artysta znalazł odrazu wielkie powodzenie, a nieznużony pracą, zasiadał już wówczas przy swej staludze od świtu do nocy, — i odtąd bez przerwy wystawiał corocznie nowe, zadziwiające obrazy. Przy wzrastającym ciągle powodzeniu i sławie Meissonier przyswoił sobie wyłącznie przedmioty z ostatniego stulecia, które są poszukiwane dzisiaj na równi z dziełami największych mistrzów sztuki z przeszłości.

Ale obrazy, które sam prznosił nad inne i lubił się chlubić niemi, są to owe znakomite ilustracje Epopei Napoleońskiej. Im-to poświęcił artysta wszystkie zasoby geniuszu i wszystkie pomysły ducha. Odtąd, aż do ostatniej chwili, ta wizja napoleońska panuje nad wszystkim w myśli i uczuciu artysty, jak również postać cesarza główne zajmuje miejsce w jego obrazach. Zwalczony tem widzeniem, podbity, porwany, jakby ośniony — widział przed sobą ciąglei zawsze, jakby ognistemi cyframi wypisane, trzy daty lat: „1805, 1807, 1814“.

Jest to najpierw Napoleon, śpieszący do apoteozy swego geniuszu, następnie wojsko okrzykiem chwały przyjmujące sławnego wodza, i nakoniec Napoleon, zwalczony przeciwnością losu, opuszczony, zdradzony, sam przeciw wszystkim. Dodajmy tu, że ten obraz ostatni 1814 r. przed samą śmiercią mistrza nabyty został od p. Delahant'a za ogromną sumę: 850.000 fr. przez p. Chauchard'a, jednego ze szczęśliwych założycieli magazynów Luwru.

Meissonier w czasie długiego i pracowitego zawodu otrzymał wszystkie możebne nagrody w ojczyźnie, jakich może pożądać artysta, — nie licząc cudzoziemskich odznaczeń i zaszczytów — trzy wielkie honorowe, na wystawach powszechnych 1855, 1867 i 1878, a na ostatniej wystawie 1889 mianowany został kawalerem Wielkiego Krzyża ze wstęgą Legii Honorowej. Członek akademii sztuk pięknych, można powiedzieć, syt honorów i sławy zastąpił tryumfalnie do grobu.

Meissonier miał szczególnie upodobanie do swoich czterech obrazów: *La Rixe* (Bójka), *Rok 1807*, *Oczekiwanie i Sztycarz akfaworcista*. Dwa ostatnie są jego własnością i testamentem zostały przyznane Muzeum Narodowemu, równie, jak wspaniałe studia do obrazu *Rok 1807*. Co zaś do obrazu znanego pod nazwą *La rixe*, ten kupiony niegdyś 1855 r. przez Napoleona III i darowany księciu Albertowi „*Prince Consort*“ i, dziś znajduje się w prywatnym zbiorze królowej angielskiej.

Przekonanie o swej wartości i potędze artystycznej — dawało artyście pozór pewnej sztywności, w pierwszym spotkaniu był on czasem twardy, opryskliwy i nieprzyjemny dla pewnych osób. Ale w gruncie był to człowiek dobry, zacny i bardzo uczynny; lubił zacisze domowe i życie rodzinne miało dlań niesłychany powab. To tłumaczy dlaczego parę lat temu ożenił się po raz drugi z panną Besançon. Po sztuce i malarstwie głównem jego zamiłowaniem było budowanie i przebudowywanie domów w Paryżu i Poissy. Te dwa domy, wzniesione według jego planów, kosztowały go drogo i pochłonęły miliony; drugą, nie mniejszą a gorącą,amiętnością był — *bilard!*

Ulubionem mieszkaniem jego i ukochaną pracownią był dom w Poissy, odległym o kilkanaście kilometrów od Paryża — a jedynym uczniem jego jest Detaille, dziś już mistrz prawdziwy w swoim rodzaju i wierny tradycjom tego, z którym go zespoliły bardziej jakby jednorodne przymioty umysłu i talentu, niżeli nauki i przykłady mistrza.

Śmierć przyszła spokojna i oczekiwana bez bojaźni i wielkiego zajęcia ze strony pacjenta. Skończył długi żywot w sobotę 31 stycznia o godzinie 8-ej z rana. Do ostatniej prawie chwili zachował całą przytomność umysłu. O godzinie 4-ej rozpoczęło się konanie. Czując zbliżający się koniec, dawał jeszcze swe rady i zachęty do wytrwania synowi (z pierwszego małżeństwa, Karolowi) i żonie.

Po śmierci drobne jego zwłoki, nieledwie dziecięce, zajęły miejsce na skromnym łóżku. W prawej ręce, w tej ręce, małej i pięknej, którą lubił się chlubić i która tyle zdziałała dla jego nieśmiertelności, trzymał krucyfiks.

Zdaje się, jakgdyby w obecnej chwili śmierć z okrutnym rozmysłem wybierała swoje ofiary. Ostatniego Stycznia, jak mówiliśmy, zmarł wielki malarz Meissonier, a w wigilią dnia tego również znakomity mistrz w sztuce malarskiej zakończył życie, Karol Chaplin.

Urodzony 6-go Czerwca 1825 r. w miasteczku normandzkim Les Andelys, w okolicy Rouen'u, z rodziców Anglików, całe prawie życie przepędził w przybranej ojczyźnie, we Francji, gdzie w 1887 r. otrzymał wielką naturalizacyą.

Doskonały kolorysta odznaczał się zawsze i wszędzie odrębną właściwością swoich produkcji; poszukiwany był szczególnie jako portrecista młodych i pięknych kobiet. O nim, jak w bajce Krasickiego, można powiedzieć:

„Piotr malował podobne, Jan — piękniejsze twarze“.

To też, jak w bajce, wszyscy cisnęli się do Jana. I w rzeczy samej, choć mało podobne do oryginałów, portrety Chaplina odznaczały się niezmierną wykwintnością formy i wdzięku.

Ale Chaplin, nie poprzestawał jedynie na samych portretach — i jego dekoracyjne obrazki są jakby dalszym ciągiem takich mistrzów XVIII wieku, jak Boucher i Watteau i im podobni. Zwiedzający dziś jeszcze prywatne mieszkania wielkich panów i publiczne pałace w Paryżu — mogą podziwiać, z chlubą dla Francji — jego dekoracyjne obrazy nad oknami i drzwiami, podpisane imieniem tego czarodzieja palety. Na nie-szczęście, pożar pałacu tuilleryjskiego zniszczył najpiękniejsze z tych produkcji, które ten mistrz wykonał, na żądanie cesarzowej Eugenii w jej budoarze. Zresztą, gdyby nawet wszystkie jego obrazy zniszczono we Francji, zostanie ich jeszcze siła w Anglii i w Ameryce, aby utrwalić chwałę jego nazawsze.

Zycie Chaplin'a, skromne i samotne, mało się nastreczało na reklamę i rozgłos. Jak Meissonier, ten nieznużony pracownik, każdego dnia, skoro się obudził, wstawał z łóżka, zasiadał do stalugi, gdzie pozostawał do nocy, nie lubił tego co się zowie *światem* i wyjąwszy dwóch lub trzech przyjaciół, nie szafował swoją obecnością przy stole lub w salonach. Oprócz swoich dzieci, których ubóstwiał, nie znał pana nad sobą.

Chaplin umarł na chorobę wątroby. Słusznego wzrostu, z tuszy i powierzchowności przypominał żelaznego kanclerza. Był najszcześniejszy, kiedy pozował przed nim jeden z tych młodych i wdzięcznych modeli, które roztopiał w zachwycających barwach jutrzeńki. Trzeba było go zmuszać, żeby się rozstał wówczas ze stalugą. Biedny Chaplin! Więcej niż od miesiąca, pod koniec życia nie było już dla niego ani Olimpu, ani Wenery, ani różanych odbłasków jutrzeńki. Szary obłok cierpienia zastąpił te ulubione złudzenia, a za cały pokarm służyło mu trochę mleka, i to spożywał z widocznym przymusem i odrazą.

W tej chwili dowiaduję się, że młody muzyk, fortepianista i kompozytor, p. Zygmunt Stojowski, uczeń konserwatorium paryzkiego, otrzymał wielkie powodzenie w sali Erarda. Koncert młodego Polaka powiódł się doskonale, a jego kompozycje, odegrane przez pierwszych mistrzów

francuzkich, dostąpiły niesłychanego tutaj uznania. Sala była przepełniona, co również jest tu rzadką rzeczą; ale najbardziej uderzyło wszystkich to, że pierwsi pianiści tutejsi swoim zapalem podkreślili ten tryumf. Paderewski ma więc współzawodnika.

Przyznając się do winy, że osobiście nie był na tym koncercie; ale wiadomość o tem przyniosła mi kartka jednego z najpierwszych pianistów Paryża, w następujących słowach:

„— Pends-toi, Crillon! — Tryumf Stojowskiego kompletny — jego kompozycje to są perły i kwiaty. Czekalem co chwila, że go na rękach nosić będą. Myślę, że W. Panu, jako współrodakowi, uczyni to niemałą przyjemność!“...

Nietylko, że mi to sprawia przyjemność, ale chlubię się tem powodzeniem i zaraz się dzielę z czytelnikami moimi — więc zapraszam, aby ze mną razem, huknęli: „Niech żyje Stojowski!“...

Stary Talleyrand wszedł tu dziś w modę, z powodu ogłoszenia jego pamiętników, od pół wieku czekających na światło dzienne, z woli samego autora. Talleyrand zostawił po sobie pamięć biegłego dyplomaty a chwiejnego człowieka. O ile można sądzić z ogłoszonego wstępu do tych pamiętników, przez wykonawcę jego testamentu, księcia de Broglie, w przeglądzie *Correspondant*, i z odczytu przez tegoż ks. de Broglie w Akademii Francuzkiej w tymsamym przedmiocie — pamiętniki te, pisane przy końcu długiego zawodu, nawet nie własną ręką autora, ale pod jego dyktowaniem, przez P. Bacourt jako sekretarza i redaktora, są to wspomnienia, przejrzone i poprawione, przeszłości — a więc, dalekie od wrażeń odebranych i oddanych na razie... Z temi pamiętnikami stanie się zapewne to samo, czegośmy doznali ze sławnymi pamiętnikami Metternicha. Nic nowego nie dadzą nam zapewne, a zawiodą nadzieję spodziewanego fajerwerku dowcipu, którym tak szeroko słynęli obadwaj dyplomaci i mężowie stanu... Zapewne, jak to zwykle bywa na świecie z bardzo dowcipnymi ludźmi — wszystkie odbłyski ich dowcipu nie są ich wyłączną własnością. Jak na herculesowe bary, kładą na ich rachunek wiele słówek i odpowiedzi, które się udało wypowiedzieć ludziom mniej znanym w świecie — ztąd w rzeczywistości zawód i niesmak...

Zawsze gotowe odpowiedzi, zabarwione dowcipem, rażące przeciwnika, czy słuchacza, jak wystrzał z pistoletu — łatwiejsze są dla pewnych uprzywilejowanych śmiertelników, niż ich zredagowanie we wdzięcznej i zajmującej formie... Dlatego może spotykamy ich tak mało w druku. To zapewne było powodem, że niema ich zupełnie w Metternichu. Tensam zawód spotka nas i w pamiętnikach Talleyrand'a...

Dowcipne zresztą, a gryzące słówka, które nas tak bawią i śmieszają na razie — są to zawsze bolesne ukłucia na rachunek bliźniego. Na gorąco uchodzą mniej więcej płazem — *verba volant!* — ale jeśli wypadnie je spisać, daje to do myślenia o tem, co na to powie ów bliźni w taki sposób zdrażniony po skórze!

Jest to jeszcze domysł tylko — bo te pamiętniki, znajdujące się dziś pod prassą, wyjdą dopiero na świat w przyszłym miesiącu: wtenczas będzie czas jeszcze, powiedzieć o tem całą prawdę. Dziś wymieniam tu jedynie, jako odgłos tego, co o tem powiadają ludzie, którym się udało zajrzeć do tych pamiętników w oryginale. Powiedziałem wyżej, że Talleyrand jest tu dziś w modzie, i w przededniu ukazania się tych sławnych pamiętników każdy przynosi swoje trzy grosze, a publiczność ma prawo wiedzieć, co o tem mówi na świecie.

Z bieżącej chwili.

— Szkoła hodowli ryb i rybołówstwa dla młodzieży włościańskiej będzie wkrótce otwartą w okolicach Petersburga.

— Projekt kasy emerytalnej dla nauczycieli wiejskich zostanie wkrótce przedstawionym władzy do zatwierdzenia.

— Komitet budowy pomnika dla Moniuszki ogłosił konkurs ścisły i zaprosił doń rzeźbiarzy: Lewandowskiego, Syrewicza, Rygiera, Woydygę, Barączka, Welońskiego, Marczewskiego, Brodzkiego, Pruszyńskiego, Markoniego i Guyskiego. Zaproszonym przesyła się warunki określające miejsce, rozmiar i wymiar, koszta budowy (około 3.000 rs.). Postać Moniuszki ma być wielkości naturalnej, w postawie siedzącej; materiałem z którego wykonany będzie, jest marmur, bronz przeciw wykluczonym nie jest. Termin składania projektów oznaczono na d. 15 Czerwca b. r. Do projektu powinien być dołączony kosztorys z zaznaczeniem, czy twórca daje podmurowanie, marmur, lub bronz. Projekta nadsyła się pod adresem redakcyi „Kuryera Warszawskiego“.

— Pomnik ks. Adama Jakubowskiego, uczonego człowieka i zacnego kapłana, stanie w kościele Ś-go Krzyża, gdzie przez lat wiele sprawował urząd proboszcza. Wykonany przez Bolesława Syrewicza z węgierskiego ciemnoczerwonego marmuru, z popiersiem w medalionie z kararyjskiego białego marmuru, umieszczonym będzie przy pierwszym filarze nawy głównej. Fundusz zebrany dotąd wynosi 306 rs., w której to summie mieści się 100 zł. reńskich, ofiara krakowskiej Akademii Umiejętności, przesłana przez czcigodnego J. Meyera, ówczesnego prezesa Akademii.

— Grupę przedstawiającą Chrystusa i Magdalenę, nagrodzoną na konkursie Tow. Sztuk Pięknych, twórca jej, Ludwik Pyrowicz, ofiarował do kościoła Wszystkich Świętych na Grzybowie.

— Na wystawie nasion przyznano: dyplom pierwszorzędnej zasługi hr. Lud. Krasińskiemu, dyplom zasługi pp. Wład. Mayzłowi i Tym. Łuniewskiemu, dyplom uznania Tow. Osad Rolnych za prace wychowawców. Medale srebrne wielkie pp. Wład. Kozłowskiemu, Alex. Lenartowiczowi. Medale srebrne: pp. Konst. Sliwowskiemu, Wład. Kozłowskiemu, Janowi Górskiemu, Kaz. Sobańskiemu, K. Ochenkowskiemu, hr. L. Krasińskiemu, hr. Augustowej Potockiej, ks. Alex. Drucko Lubeckiemu, Max Dobrskiemu, Każ. Friczowi, Wład. Gradenwicowi; Medali brązowych przyznano listów pochwalnych siedm.

— Towarzystwo Ogrodnicze przyjęło w zasadzie projekt urządzenia w Łodzi wystawy ogrodniczej; pp. Hoser, Jankowski i Szanior, zostali wydelegowani przez Towarzystwo do zjeżdżania na miejsce i zbadania warunków, mniej więcej odpowiadających przedsięwzięciu. Wspomniane ogrody i parki bogatych przemysłowców tamtejszych mogą tu przedstawiać odpowiedni materiał.

— W Kaliszu powstał zamiar miłosiernego uczynku z gatunku najdoskonalszej dobroczynności, bo dobroczynności zajmującej się młodością — rosnącym społeczeństwem przyszłym. Pod opieką tamtejszego Tow. Dobroczynności ma powstać pracownia dla dzieci ubogich, gdzieby uczyły się odpowiednich wiekowi ich rzemioł: chłopcy plecenia kapeluszy słomianych i wyrabiania chodników z okrawków sukna; dziewczęta szycia, gotowania, prania, prasowania i tym podobnych robót z zakresu kobiecej pracy domowej. Koszta zakładu obliczają na 600 rs. rocznie. Wdrożyć dziecko do pracy, wzbudzić w niem zamiłowanie do niej jest to ustrzedz je od zepsucia i wyrobić nawyknięcia, uszlachetniające w przyszłości człowieka.

— Zarząd Towarzystwa Jedwabniczego, pragnąc przyjść z pomocą osobom chcącym podnieść

przemysł krajowego jedwabnictwa, wydał broszurkę: „Prawidłowy sposób zasiewu i hodowli morwy“. Autorem jest vice-prezes Towarzystwa, p. Adolf Bogucki, dobrze zasłużony sprawie szczytowania u nas tej gałęzi pracy, przypadającej szczególnie na dział gospodarstwa kobiecego. Broszurkę nabywać można w biurze zarządu Towarzystwa (Nowy-Swiat Nr. 41).

— Czyn miłosierdzia chrześcijańskiego i uczuć obywatelskich, zamierza spełnić ks. Zygmunt Chełmicki i p. Mikołaj Glinka, właściciel Szczawina, udając się do Brazylii z celem pomocy, tym nieszczęśliwie obalamuconym ludziom, którzy pragnąc powrotu do kraju, nie posiadają środków na to. Jest już wielu takich w Bremie i zacny kapłan: ks. Pelczar, kanonik krakowski, składając sam na ten cel datek pewny, zawezwał publiczność krakowską, do współudziału w uczynku tym miłosiernym. Zarazem chcąc dokładnie zbadać położenie, zwrócił się listownie do ks. Franciszka Pracharza, który, jako posiadający język polski, stał się pasterzem dusz owych obalamuconych biedaków, z zapytaniem, co się dzieje z nimi? Odpowiedź brzmiała smutnie. Wielu z nich wróciłoby chętnie, choćby tylko na rumowisko przeszłości, ale nie posiadają środków na to potrzebnych. Inni uparcie odpychali i odpychają jego dobrą radę powrotu, odurzani niecnymi namowami i żałując wydanych już na podróż pieniędzy. Nędza jest między nimi taka, że książkę ten pocziwy kwestuje, aby ich uchronić od śmierci głodowej. Zbiera też dla nich i odzież, bo znaczna ich liczba jest obdarta i ledwo odziana. Wszystko poświęcono, nie zatrzymano się przed niczem, byle dostać się do owej krainy szczęśliwości.

— Uroczystość jubileuszowa sześćdziesięcioletniej pracy profesorskiej Dr. J. Majera, do niedawna jeszcze prezesa krakowskiej Akademii Umiejętności, odbyła się w Krakowie, w sali gmachu *Collegii novi* przy licznej zgromadzeniu publiczności, tak kobiet, jak mężczyzn. Po uroczystym wprowadzeniu jubilata na estradę, chór akademicki odśpiewał najpierw kantatę, ułożoną ku uczczeniu jubilata, poczem rektor uniwersytetu, professor Zakrzewski przemówił, skreślając dzieje jego uczciwego żywota. Dalej dziekan wydziału filozoficznego, prof. Straszewski, odczytał dyplom nadający jubilatowi tytuł honorowy, „honoris causa“ doktora filozofii, za co Majer dziękował ze wzruszeniem w pięknej mowie łacińskiej, a można tu dodać, że jest zawsze doktorem filozofii ten, kto uczciwie, szlachetnie i pracowicie długie lata życia swego przeżyć umiał. Chór akademicki odśpiewał na zakończenie poloneza, skomponowanego przez jubilata, za jego dni młodych, czem tak został przejęty, że łzy popłynęły z oczu, i za to dziękował młodzieży osobno z wielkim wzruszeniem.

— Ostatni, świeżo dokonany spis ludności Krakowa wykazał liczbę 75.514 osób, co porównane z liczbą ludności z 1880 r. stanowi przewyżkę 11%.

— Jaskinia podwawelska, zwana przez Krakowian smoczą jamą, a w której, według podania, Krakus zgładził potwora, dając mu do poknięcia baranią skórę napelnioną siarką, zostanie z przyszlą wiosną odrestaurowaną kosztem gminy miasta.

— Piękny i wielce zajmujący odczyt o Schliemanie i jego zdobyczach naukowych miał we Lwowie prof. uniwersytetu Dr. Œwikliński. Prelegent oglądał naocznie znaczną część odkopalisk Schliemana i umiał też przedstawić zajmujące obrazy tej zamierzchłej przeszłości. Czy to Troja rzeczywiście została przez niego na światło dzienne wydostana, czy znalazł on skarb Pryama?

badania naukowe dopiero po pewnym czasie odpowiedzieć na to mogą. W każdym razie odnalazł on i wydostał z pod ziemi wielkie, wspaniałe ognisko życia zmarłej przeszłości, kto wie czy nie starszej niż czasy Homerowe?

— Na dorocznym zebraniu lwowskiego Koła Literacko-Artystycznego odbytem d. 8 b. m., radzono nad gromadzeniem funduszu zapomogi dla weteranów literatury i sztuki, oraz ich wdów i sierot. Obecnie fundusz zapomogowy wynosi 1.500 zł. reń., uchwalono też, że wydawanie zapomóg rozpocznie się dopiero z chwilą, gdy kapitał wzrośnie do 5.000 zł. reń. Postanowiono wybrać komisyją literacką dla nadania Kołu odpowiedniego charakteru przez odnowienie odczytów, niegdyś miewanych, przez zakupy książek wyższej literackiej wartości, przez ogłaszanie literackich konkursów. Podwyższono składkę członków o 10 centów miesięcznie na podniesienie wzrostu kapitału zapomogowego. Koło liczy obecnie 460 członków, budżet jego dochodów wynosił 8.540 zł. reń. Prezesem Koła pozostał p. Albert Wilczyński, wice prezesem hr. Henryk Skarbek.

— Redakcyą Kwartalnika Historycznego objął po śmierci Liskego, Dr. Balzer, professor uniwersytetu.

— Prof. Józef Kalenbach wydał we Lwowie nowe studium „O improwizacji Konrada“.

— W przekładzie czeskim wyszedł poemat Krasińskiego „Agay Han“ i powieść Zacharyasiewicza „Wiktorja Regina“.

— Wzrost literackiej produkcji czeskiej jest bardzo znaczny. „Bibliografia Czeska“ wydana w 1865 roku zawierała spis wszystkich druków od 1774 r. do 1863 r. zajmując 320 stronnic. W 1882 r. liczono już 1.368 wydawnictw czeskich, w 1889 r. 2.154. Przed pół wiekiem stoniek literackich wydawnictw czeskich do niemieckich był w Pradze jak 24 do 100. Obecnie na sto książek wychodzących w Pradze jest 76 czeskich, 21 niemieckich, reszta w innych językach.

— Rozgłośna sztuka Sardou: „Thermidor“, nabyta przez teatr Krakowski w tekście pierwotnym, to jest bez zmian, których pod naciskiem żądań publiczności paryzkiej dokonał autor, będzie tam wkrótce grana. Grali ją również i na scenie berlińskiej.

OD WYDAWCY.

„Bluszc“ w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcyą.

Szanownym prenumeratom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się Arkusz 20-ty powieści pod tytułem: **Ordynat na Ballantrae**, przez Roberta Ludwika Stevenzona, przekład z angielskiego.

TREŚĆ: Pogawędka. — Hrywda. Powieść, przez Maryę Rodziewicz, (dalszy ciąg). — Korotyński literat (przypomnienie). — Fryderyk Szopen Jako człowiek i artysta (dalszy ciąg). — Nowiny Paryzkie (dokończenie). — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 20-ty powieści, pod tytułem: **Ordynat na Ballantrae**, przez Roberta Ludwika Stevenzona, Przekład z angielskiego. — Przegląd mód. — 17 wzorów ubiorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycya stołu.

PRZEGLĄD MÓD.

Ubrania dzieciinne u pani Pawlik. — Bielizna stołowa w składzie żyrdowskim. — Papier modny w papierni Schustra na Aleksandryi.

Wiosna szybkim krokiem po ciężkiej zimie zawitała do nas, więc pilno nam coś powiedzieć o modach dla naszych milusińskich, dla nas bowiem jeszcze nic nowego nie ma, ale te robaki, dla których każda godzina spędzona na świeżym powietrzu jest rozwojem życia, ich trzeba co prędzej ubrać w nowe szaty. A gdzież ich szukać, jeżeli nie u pani Pawlik, Trębacka, róg Nowo-Senatorskiej. Doprawdy, wszedłszy tam żal się człowiekowi robi, że się już lalkami nie bawi, tyle na raz w oko wpada pięknych rzeczy od sukienek dla niemowląt do chrztu używanych, bo teraz robią się oddzielnie sukieneczki niby koszulki z batystu, wszywek, tiulików, falbanek i innych różności a oddzielnie wygarniowane po-



Nr 1. Suknia z kaszmiru ozdobiona haftem aplikacyi. (Kr. i op. odwr. str. tabl. Nr VI, fig. 35—43).



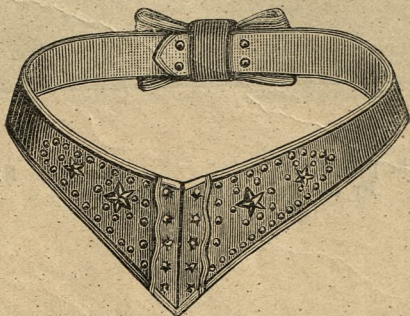
Nr 3. Mantyłka dla starszej osoby. (Kr. i op. odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 44—47).



Nr 2. Suknia z materiału jedwabnego „taille“.



Nr 5. Kapelusz koronkowy z brzegiem ze słomy.



Nr 4. Pasek ze skóry nakładany stała.



Nr 6. Kapelusz koronkowy z brzegiem słomianym.



Nr 7. Kaftanik z „sicilienne“ czarnej w grube pążki.
 Nr 8. Pelerynka „Olivette.“

Nr 9. Płaszczek „Médicis.“

Nr 10. Żakiet „fin de siècle.“

Nr 11 i 12. Płaszczek wiosenny.
 (Opis odwr. str. tabl.)

Nr 13. Kaftanik „Armide.“ (Op. odwr. str. tabl.)

Nr 14. Kaftanik dla młodej osoby. (Op. odwr. str. tabl.)

Nr 15. Płaszczek „Regine.“

M O D Y P R Y Z K I E.

dużki; śliczna była sukienka dla rocznego dziecka, z białego muślinu w same bufki dzielone wszywkami, cała podwatowana różową francuzką satinką, na ramieniu duże bufy z wążutkich jak włos wstążeczek, ach! jakież to był cukierek. Dziewczynki do lat 8 noszą zawsze sukienki z marszczoną lub plisowaną spódniczką z karczkiem, od lat 8 jednak zaczyna się objawiać fantazja w sukienkach dziecińczych, staniki plisowane na plecach, przodach, spódniczki marszczone naszyte wstążeczkami lub riuszą w dole, w pasie ujęte w szeroki najczęściej jedwabny, jak ubranie satinki pas plisowany, naśladowujący bawet z przodu i z tyłu, rękawki zmarszczone suto w górze naśladowują bufy, przy rękę wążkie, słowem w przybliżeniu sukienki te naśladowują suknie starszych pań. Płaszczki są pełne odmian, z jedną lub dwoma plisowanymi pelerynkami, ujęte w szeroki pasek. Bardzo elegancki był biały kaszmirowy u pani Pawlik, przybrany wytłaczanym szlakiem ze złotem, pasek spiczasty, mankiet i plecy wierzchniej pelerynki. Inny znowu cały marszczony, wszyty tylko w kołnierz stojący fasonu talmy burnusowej, miał dwa szale przewiązane w tyle na plecach z białego kaszmiru, płaszczyk był jasno-kawowego koloru, przybrany w dole aksamitką ciemniejszą. Dla chłopczyków oprócz dawnego ulubionego kostiumu marynarskiego z dużym białym wywinętym kołnierzem, w których przyznać trzeba bardzo nie by-



Nr 16: Tylna część płaszczyka (do ryc. Nr 19 w Bl. Nr 13).

wa do twarzy, ale który się już przeżył, bo znużył monotonością, jest drugi nowszy fason do obcisłych majtek żakietek czy marynarka, sięgająca ledwo za pas, z małym kołnierzykiem wyłożonym, spiczastym plastronem na piersiach sięgającym pasa, przepięty szerokim paskiem z przodu i dwoma kieszonkami także z przodu zupełnie jak u męskich marynarek. Śliczny był taki kostium u pani Pawlik z ciemno-oliwkowego, sukienka z białym plastronem naszytym złotym sutaszem. Płaszczki dla chłopczyków są albo równe, gładkie, długie za kostki, jak męskie na 2 rzędy, albo z pelerynką, a wtedy są krótsze do kolan, długi i z pelerynką niezgrabnieby wyglądał. Kapelusiki dziewczynek są zupełnie jak starszych z dużym za głowę wystającym rondem przybrane wstążką i skrzydłem a chłopczyków albo czapeczka okrągła z wełny albo jak już chłopczyk ma lat 10, to i kapelusz filcowy z zawiniętymi bokami jak u starszych. Powiemy o nich coś później, gdy nowe fasony pokażą się u pana Weigt'a i Loth'a. Ponieważ po Wielkiej-Nocy skojarzone w karnawał małżeństwa staną przed ołtarzem, więc nie od rzeczy będzie zwrócić uwagę rodziców kupujących wyprawę na pyszne okazy Żyrardowskich wyrobów. Skład ten urządzony zupełnie na podobieństwo paryżkich i berlińskich podobnych zakładów uniemożliwił już kupowanie czegośkolwiek zagranicą, tak odpowiada najwybredniejszym wymaganiom i cenom. Nie wspominamy o przepysznej bieliznie wykończonej wystawowym sposobem, ale

spójrzmy na bieliznę stołową, na którą jakby pięknym sztychem przyglądać się można, o jakich nie marzyło się naszym prababkom, które lubowały się tylko w cienkości płótna, wierząc tylko w holenderską. Dziś w obec wyrobów naszej żyrardowskiej fabryki znikły adamaszki holenderskie. Różnolitość deserowej bielizny stołowej jest tak wielka, że sami nie wiemy od czego zacząć. Sztuka rysownicza nie ogranicza się dziś na ilustracjach i obrazkach, dobry rysownik w każdym kierunku dziś znajdzie pracę, dość spojrzeć na duży obrus deserowy w szerokie pasy różnokolorowe niby girlandy kwiatów wystawiony w witrynie składu żyrardowskiego, aby zawierzyć słowem moim, których wiarę stwierdzają medale otrzymane na wszystkich wystawach świata: w Petersburgu, Moskwie, Londynie, Paryżu, Amsterdamie, Antwerpii i Filadelfii. Uważam za bardzo zacofanych tych, co jeszcze kupują zagraniczne płótna, a bardziej jeszcze tych co je sprowadzają, ryzykując kapitał na długie bezprocentowe leżenie.

W każdym kierunku moda musi swoje veto położyć, i tak zwiedziliśmy w tych dniach jedyną u nas na wielką skalę rozwiniętą fabrykę papierów listowych i kopert pana Szustra syna naszego Antoniego Szustra, mieszczącą się na Aleksandryi, czyli na tak zwanym okólniku hr. Krasieńskiego i wróciliśmy z ładunkiem papieru za 3 ruble, wystarczającym na rok, taka wielka jest różnica tanioci tych wyrobów w fabryce, a w sklepach sprzedających je za paryżkie. A co za różne formaty i emblematy, poczynając od amorków a kończąc na buldokach, a koperty trójkątne, i torebki, i woreczki przecięte ukośnie, słowem iść zobaczyć a można bardzo miłą godzinę tam spędzić tylko na oglądaniu wyrobów fabryki.

L. C.

Pasek ze skóry nakładany stałą.

Rycina Nr 4.

Pasek z przodu ścięty w bawet w tylnej części równy, wykonany z skóry koloru żółtego, nabijany małymi goździkami i gwiazdkami ze stali. Zapinany z tyłu pod kokardą ze skóry.

Kapelusz z tiuiu perlistego i koronki z brzegiem ze słomy.

Rycina Nr 5.

Kapelusz w rodzaju kapotki wykonany na formce z druciku, którą należy pokryć podwójnie czarnym tiulem. Naokoło otoczyć ukosem czarnego aksamitu i przedni brzeg oraz boki obszyć czarnym tiulem haftowanym perełkami, tiul ten z przodu ułożyć w rodzaj kokardy. Główkę pokryć czarną koronką „chantilly“ 12 cent. szer. a górne jej końce ułożyć wachlarzowato podług ryc. Rondko ze szlaku plecionego przezroczysto z czarnej słomy, podszytego jedwabną gazą koloru „fraise“ złożoną podwójnie, Bukiet z róż koloru żółtego i bordo zmieszany z gałązkami rezedy oraz wstążki czarne atlasowe do wiązania wykończają całość.

Kapelusz z koronki i pleśni słomianej.

Rycina Nr 6.

Kapelusz w formie kapotki, wykonany na formce z drucików, pokrytej czarnym podwójnie złożonym tiulem i objętej naokoło czarnym aksamitem. Przednia część obszyta przezroczystą koronką ze słomy podłożonej lekko fałdowaną wstążką atlasową koloru ponsowego. Główka przybrana czarną koronką 11 cent. szer. Bukiet z róż ponsowych i rezedy, czarne dżetowe szpileczki i wstążki do wiązania z wstążki czarnej atlasowej 4½ cent. szer. wykończają całość.

Kaftanik z „sicilienne“ czarnej w grube prążki

Rycina Nr 7.

Plecy z czarnej koronki. Rękawy z „sicilienne“ ozdobione w przecięciach bufkami z czarnej koronki, zakończonymi gwiazdą dżetową. Przednia część z koronki bufiasto ułożonej, spiętej paskiem z wstążki czarnej jedwabnej „gros grain“ związanej z przodu na kokardę z spadającymi końcami. Obszycie szyi ułożone w riuszę z koronki czarnej przedłużonej z przodu w żabot. Małe póły odwracane tworzą rodzaj pukli. Suknia z materiału wełnianego koloru stalowego w rzucane grochy kolor na kolorze i ozdobiona aksamitem koloru „canaque.“ Toczeczek koronkowy ze skrzy-

dełkiem srebrzystym. Brzeg toczka z aksamitu koloru „canaque“ i wstążki tegoż koloru.

Pelerynka „Olivette.“

Rycina Nr 8.

Pelerynka z materiału wełnianego „broché“ w deseń jedwabny koloru stalowego, podszyta „surah“ koloru „vieux rose.“ Część przednia ozdobiona aplikacją z pasmanterii jedwabnej popielatej mieszanej ze srebrem. Rękawy proste zmarszczone na ramionach. Wstążka tkana srebrem ułożona w pukle, tworzy naramienniki. Riusza z koronki haftowanej srebrem otacza szyję i przedłuża z przodu w żabot aż do końca przodów pelerynki. Suknia niebieska „bleu husard.“ Toczeczek z sicilienne koloru popielatego, przybrany koronką koronką srebrną, piórami i wstążkami koloru „vieux rose.“

Płaszcz „Médicis.“

Rycin Nr 9.

Płaszcz z materiału wełnianego koloru „bège“ zasiany pastylkami z aksamitu koloru ciemno-niebieskiego. Haft wykonany jedwabiem koloru „bège“ i złotem zdobi rodzaj karczku. Otoczenie szyi z koronki haftowanej złotem. To samo przybranie wykończa rękawy. Żabot z koronki złotej zdobi przednią część płaszczyka. Toczeczek z krepki chińskiej koloru niebieskiego, przybrany wstążką „bège“ i ozdobami złotymi. Suknia z materiału wełnianego haftowanego koloru na kolorze w cieniu płaszczyka.



Nr 17. Kapelusz z koronki i pereł.

Żakiet „fin du siècle.“

Rycina Nr 10.

Żakiet z „sicilienne“ koloru ciemno-ponsowego, przybrany falbaną z czarnej koronki tworzącej baskinę. Rękawy przybrane epoletami z siatki z imitacji drogich kamieni i zakończone falbaną z koronki czarnej. Haft kamizelki i kołnierza „Médicis“ w cieniu kamieni zdobiących epolety. Suknia koloru drzewnego z materiału wełnianego haftowanego złotem. Kapelusz słomiany podszyty materiałem ponsowym i piórami koloru drzewnego.

Płaszcz „Regine.“

Rycina Nr 15.

Płaszcz wykonany z koronki czarnej weneckiej lub z materiału jedwabnego czarnego „broché.“ Przednia część przybrana koronką czarną ułożoną wężykowato. Pelerynka marszczona u wycięcia szyi i na ramionach. Epolety z aksamitu koloru „giroflée.“ Wycięcie szyi zakończone riuszą z koronki. Suknia za z materiału w paski koloru „giroflée.“ Kapelusz słomiany podszyty aksamitem „giroflée“ i przybrany bukietem lewkoni.

U W A G A.

Do dzisiejszego numeru dołącza się tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorówi robót w tym i w przyszłym numerze Bluszczu podać się mające.